



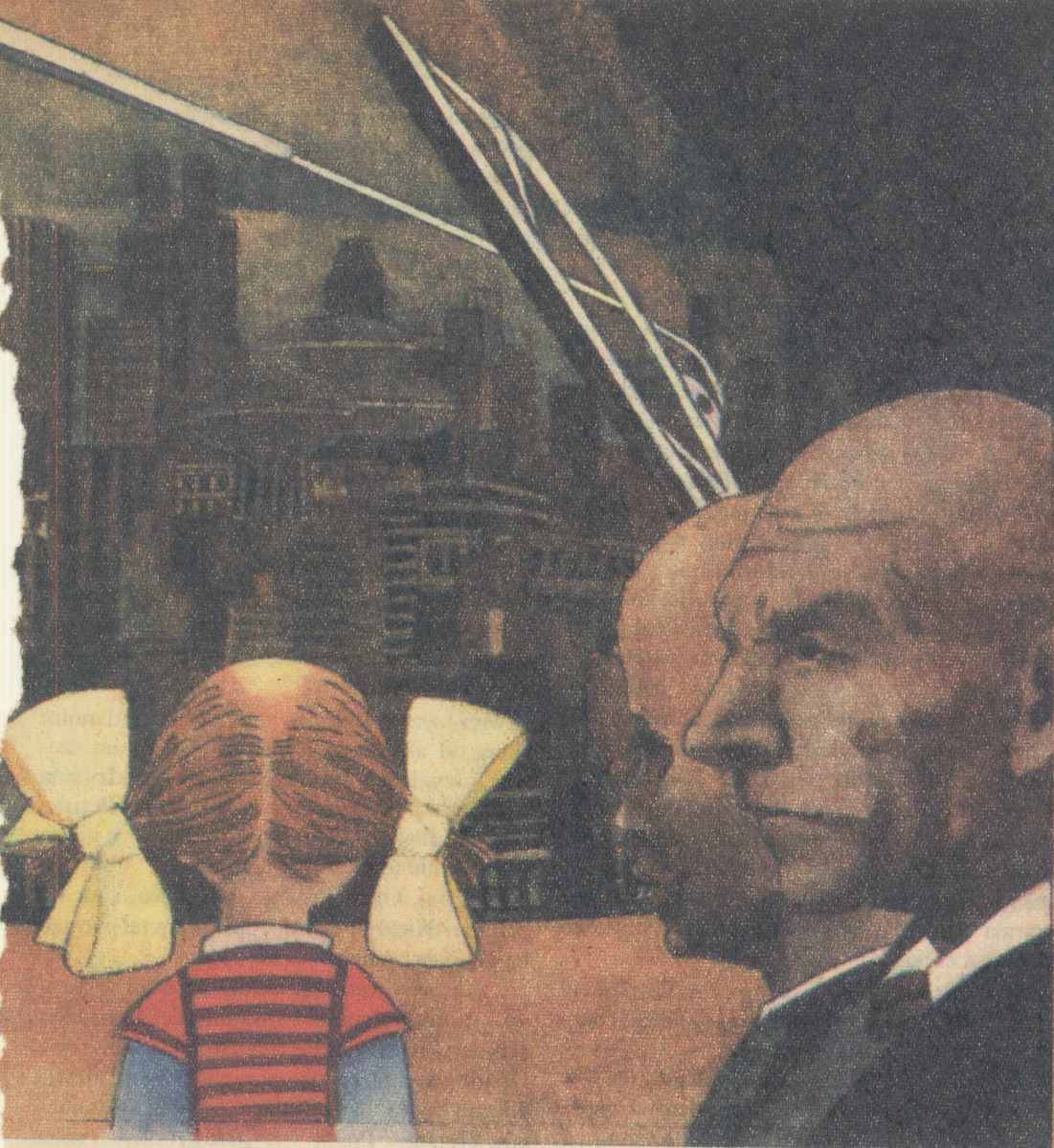
przydział

Napisał: Janusz Siwek

Decyzję podjąłem w czasie ostatniego urlopu, który wraz z Ceią i Fa spędziłem, jak zwykle, w stymulatorze wczasowym. Dziś myślę, że w tym akcie odwagi było dużo przekory, ale także i zdrowego rozsądku. W końcu ktoś, kto kupuje parasol, gdy zapowiada się deszczowe lato, ma prawo uważać się za człowieka w pełni normalnego nawet wówczas, gdy dyktatorzy mody kategorycznie zabraniają używania parasoli.

Muszę jednak przyznać, że zgłoszenie akcesu do Fundacji nie przyszło mi łatwo. Wiedzia-

łem, że zostanę uznany za takiego, który się wylamał. Właściwie o wszystkim przesądziła błada twarzyczka Fasolki, jej smutne, wielkie oczy, którymi wodziła po zieleni stymulatora, jej radość, kiedy zabłysło heloksenowe słońce. Wtedy przestałem się zastanawiać i złożyłem swój podpis. Uczyniłem to w końcu... i nadal nie byłem zupełnie przekonany. Właściwie dlaczego miałbym wierzyć we wszystkie zdania wielopunktowej deklaracji? Czytałem je w kółko kilka razy, tak że niektóre zwroty wbiły mi się w pamięć. Pamiętam na przykład



Ilustrował: Bogusław Orliński

zakończeniu, trzy ostatnie zdania, stanowiące jak gdyby abstrakcyjne uzasadnienie wyводу: „... Ciśnienie opinii społecznej nadal zbyt mocno określa nasze życie, nadaje mu pozór normalności lub skazuje na potępienie. Jedyne w teorii każdy ma prawo postępować według własnej skali wartości, od początku do końca tworzyć swój własny los. W rzeczywistości wyboru nigdy nie dokonujemy samotnie, czasami dokonujemy go w mniejszości, lecz jeśli jest on obiektywnie słuszny, stanie się prędzej czy później wyborem całej ludzkości”.

Jak się tego można było spodziewać, w biurze moje postanowienie wywołało istną lawinę złośliwych docinków. Siedząc za biurkiem gapiłem się godzinami na brązowe smugi pokrywające ścianę naprzeciw i rozmyślałem nad względnością stosunków międzyludzkich. Co pewien czas docierały do moich uszu uwagi, w których przyrównywano mnie do troglodyty lub silono się na niewyszukane przezwiska typu: homo agrarius czy Arkadyjczyk. Towarzyski bojkot przejawiał się także, a może przede wszystkim, w tym, że nie dostawałem

nic do roboty. Początkowo udawałem, że nad czymś pracuję. Wypełniałem zbędne formularze, pochylałem się nad fikcyjnymi zamówieniami, by później, kiedy nikt nie widział, wyrzucać to wszystko do kosza. Ale nie mogło to trwać zbyt długo. W końcu skapitulowałem. Złożyłem podanie o przeniesienie.

Zaczynałem dokładnie osiemnasty dzień w nowej skórce, gdy otrzymałem wezwanie od szefa. Przyniosła je jego osobista sekretarka, niebieskooka, śliczna dziewczyna w czarnej peruce. Miała zmęczone spojrzenie, a kiedy pochylała się nad biurkiem podając mi kartkę do podpisu, zobaczyłem na jej czole kropelki potu. Zauważywszy mój wzrok, dziewczyna lekko westchnęła, wyprostowała się i spróbowała się uśmiechnąć. Nie wyszło jej to najlepiej, a ja poczułem, że robi mi się jej naprawdę żal. Nasza firma była poważnym kontrahentem Fundacji, nic więc dziwnego, że dziewczyna musiała na własnych nogach roznosić zawiadomienia, okólniki i inne papierki. Cóż, oni potrafili stawiać warunki! Wstałem zza biurka w dość kiepskim nastroju. Po syntetycznym śniadaniu dokuczał mi żołądek. Na dodatek jedyna kobieta w naszym gronie, konsekwentnie trzydziestoletnia panna Lang, postarała się o odebranie mi resztek dobrego samopoczucia:

– Mam nadzieję, że zaprosi mnie pan na zieloną trawkę? – powiedziała, stukając energicznie w maszynę do pisania.

Zawtórowały jej stłumione śmiechy, a Nat dorzucił złośliwie zza swoich papierów:

– A może, Olen, wybierzesz się ze mną na przejażdżkę nowym wibrołazem?

Zamknąłem z trzaskiem drzwi, choć musiało to wywołać nową falę wesołości.

„Czy jest im tylko wesoło? – zastanawiałem się idąc machinalnie w stronę, gdzie kiedyś była winda. – Może w tym śmiechu jest też miejsce na zazdrość lub maskowaną bezradność? Może niektórzy mimo wszystko chcieliby znaleźć się na moim miejscu, tylko brak im odwagi? Sam nie wiem ostatecznie, czy postąpiłem słusznie... Za głupie talony, za jakiś tam Przydział mam wyrzekać się wszystkiego? Wracać do prymitywu, skazywać się na nudę długich wieczorów bez widowisk wideofonicz-

nych, na towarzyską izolację, na ukradkowe podsłuchiwanie dziennika w wiecznym lęku przed kontrolerem?... Zrobiłem to tylko dla Cei i naszego małżeństwa!...”

Dopiero zagroźony czerwono-białymi krzyżakami, ziejący czernią otwór szybu wyrwał mnie z zamyślenia. Zawróciłem. Zdyszany, pocąc się w dusznym powietrzu, zacząłem mozolną wędrowkę po schodach. Morderczą wspinaczkę na sześćdziesiąte czwarte piętro. Tu, na najwyższej kondygnacji, w ascetycznym gabinecie, górował nad swym królestwem Val.

Nie miał mnie kto zaanonsować. Sekretarka ciągle gdzieś biegała. Kamery były zdjęte. Czujniki widocznie także, bo próbowałem bez skutku podchodzić do drzwi z różnych stron. Zdecydowałem się więc zapukać. Podniosłem już rękę do połyskliwego plastyku, gdy usłyszałem głośno: wejść!

Mężczyzna, który trzy roczniki przed moim skończył akademię, teraz zaś był moim szefem, wyglądał na zmęczonego, codzienna wspinaczka wyraźnie mu nie służyła. Perukę miał niedbale osadzoną na łysinie, ręce wbite w kieszenie marynarki.

– Witaj, Olen. Proszę, siadaj. No, i jak się pracuje? Niezbyt wesoło, co? – zapytał patrząc na mnie uważnie.

– Niezbyt wesoło. Powoli wpadam w rutynę – próbowałem zażartować. Biel ścian jego gabinetu trochę mnie oszołamiała. Kosztowna, aktywna farba. Wyobraziłem sobie niewidoczne pyłki odskakujące od nieskazitelnej powierzchni. Pokój był przestronny. Prócz biurka i dwóch krzeseł zupełnie pusty.

– Podobno przyjeżdżają do ciebie dziadkowie? To znaczy twoi rodzice? – poprawił się.

– Może kiedy dostanę Przydział, to przyjadą. Na stałe – powiedziałem z wisielczym humorem.

– Moja matka postawiła ten sam warunek – szef zamyślił się. – Eh, kariera... Jakże zmienił się do niej stosunek w ostatnich latach. Nie tak dawno rozpoczynałem pracę w Dziale Zaopatrzenia. Wtedy jeszcze liczyła się suma pieniędzy, awans, nowy model robota. Dzisiaj... – zrobił pauzę i potarł czoło – dzisiaj chętnie zamieniłbym się z tobą.

Zaskoczył mnie tymi słowami. Tylko, że dzisiaj mogłem na nie zareagować uśmiechem.

– Jestem członkiem Fundacji – powiedziałem.

– Właśnie – podchwycił Val. – Teraz powiem ci coś w zupełnej tajemnicy. Chciałbym, aby nikt o tym nie wiedział. Ty sam także zapomnisz, jeżeli odrzucisz moją propozycję. Zdajesz sobie sprawę, że za swoje pieniądze mogłem kupić znacznie więcej niż ty... na przykład. Ale... najpierw propozycja. Jeżeli zechcesz, możesz przejść do Działu Dystrybucji.

Milczałem. „Wiem, że mnie nie lubisz. Przynajmniej nie lubiłeś dotąd. Przez cały czas, jak tu pracuję, otrzymałem tylko jedno przeniesienie. Powiedz lepiej od razu, co się za tym kryje. Nikogo nie przenoszą za piękne oczy do Dystrybucji”. Tak mniej więcej sobie pomyślałem. Mogłem to powiedzieć głośno, ale wystarczyło, że pomyślałem.

Szef postanowił odkryć karty.

– Ja też jestem członkiem Fundacji Ludda – wycedził pochylając się nad dziurą po wymontowanym dyktafonie. – Mają taką swoją tajną listę... Widzisz, moja żona bardzo chciała... Róża, nasza córka, kończy w przyszłym miesiącu piętnaście lat. Dlatego żona zdecydowała...

Pokiwałem głową ze zrozumieniem. Nie musiał kończyć. Chodziło o handel zamienny. Przysługa za przysługę.

– Dlatego żona zdecydowała, abym porozmawiał z tobą. Wszyscy wiedzą, że jesteś w Fundacji. A ja... na moim stanowisku... – skończył mimo wszystko Val. Chciał, by wszystko było jasne.

Zastanawiałem się gorączkowo. Pracując w Dystrybucji mogłem przyspieszyć realizację talonów. Każdy wie, że w tym dziale ma się w rękę wszystkich. Oczywiście, Val jako dyrektor nie może sam sobie udzielać profitów z nadprogramowej dystrybucji. Ale mając tam mnie i mając moje talony... Oby nie chciał ich za dużo, bo Ceia nigdy by mi nie wybaczyła! Było więc trochę prawdy w tych wszystkich plotkach o bezwzględnych zwierzchnikach kupujących awansami w zamian za talony Fundacji.

– Ile? – zapytałem.

– Dwa. Na wideo i wizjofon.

– Tylko na video...

– Dobrze, niech będą na video i domowego spec-univera.

– Zgadzam się – powiedziałem po chwili wahania.

Val wyciągnął do mnie rękę. Byliśmy teraz współnikami. Tylko do jakiego stopnia?

– Pomyśleć, że ludzi pokroju Nata z mojego działu cieszy to, co się dzieje. Kupują wymyślne automaty, rozbijają się supermodelami wibrołazów po pasmach szybkiego ruchu – zacząłem towarzyskim tonem.

– Nie bujajmy się, Olen – przerwał szef podchodząc do mnie. – Przecież my też wolimy normalne, męskie rozrywki. Możemy chyba pozwolić sobie teraz na szczerłość?

Skinąłem głową z uśmiechem.

– A między nami mówiąc, ten Nat... – Val zniżył głos niemal do szeptu. – Ten Nat z twojego działu może sobie kupować, co chce. I tak wiem, że pracuje w Kontroli.

– W Kontroli Fundacji?! – zawołałem zaskoczony.

– Całe gadanie o automatach jest tylko kamuflażem. Dzięki temu potrafi wyciągać wszystko, co chce. Chyba, że ktoś wie...

– Chyba, że ktoś wie – powtórzyłem wciąż nie mogąc uwierzyć.

Staliśmy już przy drzwiach. Lecz Val najwidoczniej miał mi jeszcze coś do powiedzenia, bo przytrzymał moje ramię.

– Chciałem ci przypomnieć – rzekł. – Teraz, kiedy zaczynasz pracę w nowym dziale, i to w takim dziale, nie chciałbym, aby ktokolwiek mógł opacznie zrozumieć twój awans. Jest on wyłącznie nagrodą za nienaganną pracę. A o Przydziałach, jak je już dostaniemy, nikomu ani słowa...

Wolałem od razu trzymać język za zębami. Po co zawczasu dawać żer nowym plotkom? Zszedłem na dół i usiadłem za biurkiem jak gdyby nigdy nic. Atmosfera panująca od kilku dni w pokoju po raz pierwszy była mi naprawdę na rękę. Widziałem, że aż rozpięra ich ciekawość, co też usłyszałem od szefa. Nie próbowałem nawet udawać, że pracuję. Początkowo miałem zamiar siedzieć do końca

godzin urzędowania, lecz naraz przysłała mi do głowy myśl wprost niesłychana. Ułożyłem starrannie papiery, podniosłem się i skierowałem do wyjścia.

– Do zobaczenia na zielonej trawce! – rzuciłem w stronę panny Lang.

Stojąc już za drzwiami zorientowałem się, że zapomniałem zabrać parasol. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie będzie padać. Nie wypadło przecież psuć tak efektownego wyjścia. W dzisiejszych czasach, kiedy jeszcze niemal wszystko robiły za nas maszyny, a praca była prawdziwym dobrodziejstwem, nie każdy mógł sobie pozwolić na podobne zachowanie.

Padało jednak. Dotarłem do domu usmarowany jak nieboskie stworzenie. Ceia, ujrzawszy mnie w drzwiach, nie krzyknęła przestraszona, chociaż musiałem wyglądać bardzo dziwnie, pokryty mieszaniną sadzy i błota.

– Pomyśleć, że kiedyś wycinano lasy, aby budować fabryki... – mruknąłem wycierając twarz chusteczką.

– Był Kontroler – przerwała mi gwałtownie żona. – Znalazł elektroniczną lalkę, którą podarowałeś Fasolce na szóste urodziny. Czy wiesz, co to znaczy? Mogą nam opóźnić Przydział! Już trzy tygodnie, jak wyrzuciłeś ostatniego robota. Urabiam sobie ręce po łokcie, a teraz jedna głupia lalka i kilka dodatkowych miesięcy czekania!

W pierwszym odruchu chciałem biec do gabinetu. Miałem tam w skrytce coś, czego za żadne skarby nie powinien zobaczyć żaden Kontroler. Lecz po chwili uspokoiłem się. Skoro Ceia nic nie mówiła, to znaczy że skrytka była dostatecznie sprytnie pomyślana.

– Nie martw się – odparłem niefrasobliwie – nasze kłopoty już się skończyły.

Żona spojrzała na mnie z podejrzliwością. Teraz dopiero zauważyła mój godny pożałowania wygląd.

– Wracałeś bez ochraniaczy? – zawołała. – Powiedz, czy stało się coś?

– Zapomniałem parasola.

– Parasola? Przecież to archaiczne urządzenie niewiele chroni przed deszczem... Powiedz mi. Olen, proszę, czy coś się stało w pracy?

Nie odpowiedziałem i pogwizdując ruszyłem do łazienki.

– I co ty właściwie robisz o tej porze w domu? – niepokoiła się coraz bardziej Ceia. – A może zostałeś zwolniony? Chcę wiedzieć!

– Powiedziałem ci już, kochanie, że nasze kłopoty się skończyły – krzyknąłem szorując zawzięcie pokryte czarnymi smugami ciało. – Aha, nie wspominałem ci jeszcze, że odstąpiłem talony za video i spec-univera...

– Czy chcesz powiedzieć, że odstąpiłeś miejsce na liście? – Głos Cei, choć stłumiony przez drzwi, brzmiał zdecydowanie chłodno.

– Powinnaś wiedzieć, że nie można odstąpić miejsca na liście. Można je tylko utracić, gdy Kontroler wykryje coś poważnego. Odstępując swoje talony, będę musiał po prostu zapłacić za Przydział więcej pieniędzy. A moje talony za video i univera odstąpiłem komuś, kto chce te urządzenia zatrzymać i ukrywać przed kontrolą.

– Nie wiem, czy temu komuś się uda... Przewrócili tu wszystko do góry nogami. Już wolę zrezygnować z programów rozrywkowych i sama zmywać naczynia. A zresztą, skąd weźmiesz dodatkowe pieniądze?

– Pamiętasz, jak wczoraj pytałaś, czy mogę pomóc twojej przyjaciółce Cynii Vern i załatwić dla niej nadprogramową dystrybucję tlenu? – zapytałem wychodząc z łazienki w swoim o wiele za długim płaszczu kąpielowym. – Otóż wczoraj powiedziałem, że nie. Dzisiaj mogę powiedzieć – tak.

– Niemożliwe! – krzyknęła Ceia. – Nareszcie?!

– Od jutra zaczynam pracę w Dystrybucyjnym – potwierdziłem z dumą.

– Oh, jak cudownie! Cynia jest moją najlepszą przyjaciółką. Kiedy jej zakład podpisał umowę z Fundacją, zrezygnowała z pracy. Nie miała dość sił, by biegać z każdym papierkiem po czterdziestopiętrowym gmachu.

– Wszędzie teraz zwalniają się sekretarki – powiedziałem i przypomniałem sobie zmęczone spojrzenie sekretarki Vala.

Wieczór zapowiadał się bardzo miły. Od dziś my również, rzecz oczywista, nie musimy już oszczędzać tlenu. Pootwieriałem zawory klimatyzacyjne do oporu, nie bacząc, że strzałka manometru szybko przekroczyła czer-

woną kreskę. W mieszkaniu zrobiło się wesoło. Pachniało świątecznym ciastem, które Ceia wypiekała w kuchni, Fa bawiła się szmacianą lalką, ja zaś zakradłem się do gabinetu, wydo- byłem ze schowka małe radio i próbowałem coś złapać. Gdzieś nadawano muzykę, na innym zakresie aż huczało od reklam. Na zakre- sie RFL (Rozgłośni Fundacji Ludda), akurat kończył się dziennik w języku światowym:

„... Powołano specjalny Komitet do obcho- dów 450 rocznicy wystąpienia legendarnego Neda Ludda, pierwszego burzyciela maszyn – mówił spiker. – Dzisiaj jego nazwisko nieroz- zerwalnie związało się z działalnością Fundacji Ludda, dobrowolnej organizacji wszystkich ludzi, którym leży na sercu przyszłość naszej planety...”

Przestałem słuchać i zamyśliłem się. Zada- nia i zasady funkcjonowania Fundacji znałem aż za dobrze – formułowała je deklaracja, którą podpisywałem przed osiemnastoma dniami. Spiker mówił coś o śmiertelnym zagrożeniu biosfery, o bezmyślności człowieka, który stoi u progu totalnego samobójstwa, o konieczności powrotu do natury, a ja zastanawiałem się, dlaczego wszystko musimy traktować tak eks- tremalnie, albo jakby nie było rozwiązań po- średnich. Czy to tylko nasza wina, myślałem, czy również wina tych wszystkich pokoleń, które zaślepione swoim dzisiaj, skazywały nas na takie jutro? I czy rzeczywiście warto było kupować Fasolce elektroniczną lalkę, skoro równie szczęśliwa bawi się szmacianą? Lecz z drugiej strony, dlaczego mam teraz rezygno- wać z posiadania zwykłego odbiornika radio- wego? Gdzieś, kiedyś zatraciliśmy właściwe proporcje. Może dla wyrównania musimy stracić je także teraz?

Spiker podawał dalej wiadomości:

„... Kosmolot „Albategnius” wrócił z wy- prawy badawczej do Kłosa Panny. Był to ostatni statek znajdujący się w przestrzeni kosmicznej. Jak wiadomo, Centrum Lotów Kosmicznych przyjęło rezolucję Fundacji Ludda uzasadniającą konieczność rezygnacji z dalszych badań kosmosu ze względu na nadmierne zużycie materiałów i surowców, a także...”

– Olen! Czy wiesz, czym to grozi!? – usły-

szalem okrzyk Cei. Stała w drzwiach trzymając w rękę talerzyk z kawałkami tortu.

– Czy naprawdę chcesz, abyśmy nigdy nie otrzymali tego Przydziału? – ciągnęła podnie- sionym głosem moja żona.

– Myślisz pewnie, że Val wymontował czuj- niki w swoim gabinecie? – burknąłem roz- złoszczony jej paniką. – Założę się, że ściany pod tynkiem i tą jego superfarbą są naszpiko- wane mechanizmami.

– A czyja to wina, że niemal wszyscy jeste- my łysi? – krzyknęła znowu Ceia. – To właśnie przez produkcję tych wszystkich mechaniz- mów, jakby nie było można normalnie zapu- kać do drzwi, w powietrzu jest tyle toksyczne- go świństwa. Popatrz na Fasolkę – krzyczała – ma sześć lat i już jej włosy zaczynają wypadać!

Niespodziewanie dla samego siebie roze- śmiałem się głośno.

– Łysienie przepowiedziano nam już ponad sto lat temu – powiedziałem. – A radio jednak zatrzymam. Mam na nie doskonałą skrytkę. Nie bój się, na pewno nie znajdą. I możesz mi podać ten syntetyczny tort. Z mojej głowy nie ma już co wypadać.

* * *

Wagon eltresu, który miał nas zawieźć do celu wieńczącego kilkuletnie starania, wyrze- czenia i nie zawsze zgodne z prawem zabiegi, zajęty był do ostatniego miejsca. Fasolka sie- dząc na kolanach matki rozpląszczyła nosk o szybę i podziwiała pokryte grubą warstwą błota i brudu niekończące się ulice, widmowo rozświetlone tymi resztkami słonecznego światła, które zdołały przedrzeć się przez at- mosferę. Ceia założyła najładniejszą perukę. Kaskadę złotych włosów przewiązała kosztow- ną, lnianą tasiemką. Przyglądaliśmy się oboje z ciekawością współpasażerom, nielicznym szczęśliwcom, podobnie jak my, obdarzonym Przydziałami Fundacji. Mieli zadowolone mi- ny. Większość stanowią małżeństwa z małymi dziećmi, choć sporo było ludzi starszych. Na- przeciw nas siedziało dwoje starsuszków: ona w schludnej, ciemnej sukni widocznej pod standardowymi ochraniaczami, on zwracający uwagę imponującą, lśniąca jak bilardowa kula,

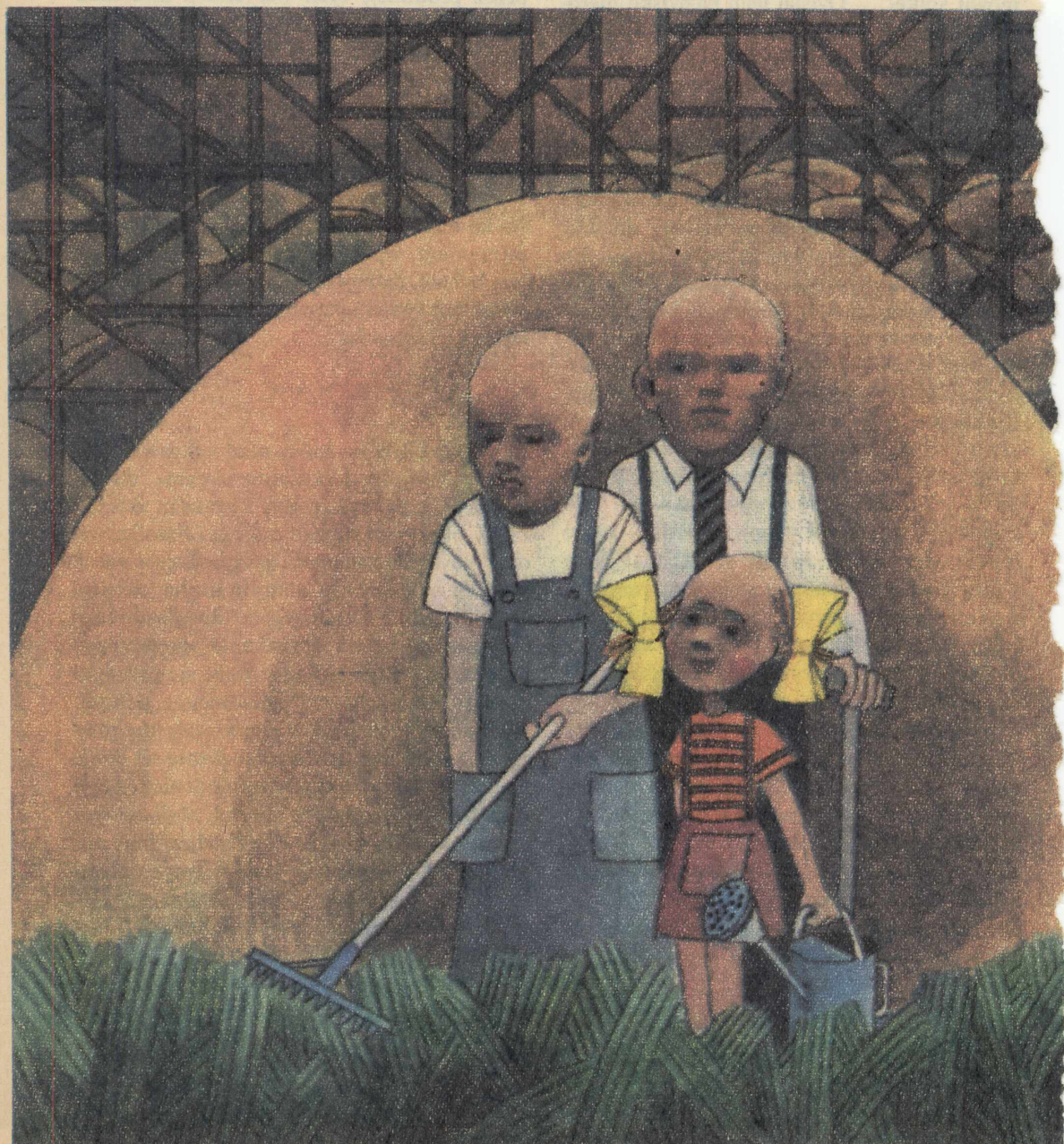
łysiną. Cóż, my stosunkowo młodzi, ciągle jeszcze wstydzimy się swoich nagich czaszek. Widocznie silniej niż na starość dają znać o sobie zakodowane przez wieki upodobania estetyczne. Pomyślałem o swoim ojcu, o matce Cei i westchnąłem. Ceia widocznie myślała o tym samym.

– Gdyby jeszcze udało się nam sprowadzić dziadków – powiedziała z rozmarzeniem.

– Przypuszczam, że mimo wszystko wolą oddawać się rozkoszom lenistwa w objęciach automatów do masażu niż pilnować Fasolki –

odparłem melancholijnie. – Chociaż teraz!... Kto wie. Może dadzą się skusić? Tym bardziej że dziadek jest chory na astmę...

– Zapewniam państwa, że jest to doskonały układ – wtrącił się nagle staruszek z głową jak bilardowa kula. – Jako rodzice możemy korzystać z Przydziału dzieci, one zaś korzystają z naszych automatów. Naprawdę doskonały układ. Chociaż słyszałem ostatnio, że Fundacja zamierza wprowadzić jakieś dodatkowe obostrzenia w tym względzie. Przybywa jej z każdym dniem nowych członków...



– Państwo pozwolą. Moja żona Ceia i córka Fasolka. Ja nazywam się Olen – pospieszyłem z prezentacją.

– Jestem Narcyz O'Brien. A to moja małżonka, Chryzantema O'Brien. Czy pan jest Irlandczykiem? – Zainteresował się starszy pan.

– Nie... Dlaczego pan tak sądzi? – spytałem zdziwiony.

– Ach, te imiona – zachichotała pani Chryzantema. – Kiedy się urodziłam, akurat powstała ta moda na roślinne imiona. Wie pan, rodzice zawsze łączyli swe pragnienia z imieniem dziecka. Tak, nadawali imiona budzące różne pożądane skojarzenia albo będące odbiciem ich pragnień.

Pokiwałem głową z zainteresowaniem.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Ciekawa teoria... Nawet by się zgadzało. Jak kiedyś z Napoleonem...

Przelecieliśmy z łoskotem nad pasmem szybkiego ruchu, po którym, wzniesając fontanny błota, sunęły wibrolazy. W którymś z nich mknął być może na weekend Nat. Spojrzałem w stronę Cei:

– Wyobraź sobie, że ta stara Lang oddała wczoraj maszynę do pisania. Całą dokumentację będzie prowadzić ręcznie. Mój przykład tak na nią wpłynął. Ale swoją drogą wypisywać ręcznie faktury na tlen; nie zazdroszczę jej.

Ceia nie odpowiedziała. Zajęta była czyszczeniem zabrudzonej buzi Fa. Za to pan O'Brien zainteresował się wyraźnie:

– To pan pracuje przy produkcji tlenu? – zapytał. – Czy to prawda, że praca w dystrybucji waszej wytwórni umożliwia dokonywanie rozmaitych nadużyć? Wszyscy tak mówią.

Spłoszony utkwilem wzrok w oknie nieustannie oczyszczanym migającymi wycieraczkami.

– Co też pan mówi – mruknąłem po chwili. – Sam szef wytwórni nie dostał jeszcze Przydziału od Fundacji, chociaż podpisał deklarację w tym samym mniej więcej czasie co ja.

Nie wspominałem o kłopotach Vala z kontrolą. Nie wykluczone, że biedak poczeka jeszcze parę lat. A ja, gdyby nie umowa z Valem, ile lat bym czekał? Trzy, cztery, może więcej. Prawda, że wykorzystałem swój awans

maksymalnie. Lecz czy rzeczywiście było warto? Ciągłe drżę ze strachu – ot, choćby przed chwilą – że wszystkie moje machinacje wyjdą kiedyś na jaw. Czulem, jak wracają te same pytania, które dręczyły mnie, gdy podejmowałem decyzję. Na szczęście już dojeżdżaliśmy.

Wśród pasażerów elstresu zapanowało ożywienie. Zaczynały się tereny wykupione przez Fundację. Kiedyś znajdował się tu wielki kombinat petrochemiczny. Teraz ogromne, plastikowe tunele, szczelnie, jeden przy drugim, pokrywały jak okiem sięgnąć całą przestrzeń. Między pokrytymi folią tunelami przesuwały się z wolna maszyny spryskujące i oczyszczające. Musiały tak posuwać się jedna za drugą nieustannie, bo na oczyszczoną powierzchnię w ciągu kilku minut spadały setki kilogramów pyłu, grożąc zawaleniem kilometrowych konstrukcji. Podobno były to jedyne maszyny, które nie zostały jeszcze wyklęte przez Fundację...

Nasza działka miała dokładnie 4 metry szerokości i 10 metrów długości. Urzędnik Fundacji z uśmiechem wręczył nam klucz od furtki.

– Gratuluję państwu! I życzę przyjemnej pracy – powiedział.

Fasolka rozdziawiła buzię.

– Co to jest, tatusiu? – zapytała z zachwytem.

– To trawa. Prawda, że ma zupełnie inny kolor niż w stymulatorze?

– Jest zupełnie inna. Jest taka... śliczna.

Ceia rozwijała z nabożeństwem małe zawiątko. To na nie poszła większość naszych talonów. A oprócz tego kosztowało cholernie dużo pieniędzy.

– Co to? – zapytała znowu nasza córka.

– To jest fasolka. Zasiajemy ją najpierw. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ona smakuje.

Obok miniaturowej altanki stały narzędzia. Na ich widok zrobiło mi się jakoś smętnie na sercu. Gdyby tak mały, samobieżny pług, pomyślałem, pięć minut i byłoby gotowe. A potem przypomniał mi się wielki napis przed wejściem do tunelu.

– Żadnych maszyn! – powiedziałem stanowczo i wbiłem blachę szpadla w twardą, urodzajną glebę.